Uciekające imię

Leonard Neuger

Uciekające imię

Motto:

Lęk nie jest „psychologiczny” i zwykle nie przynależy do tzw. duszy. Odzywają się w nim echa męczarni indywiduacji, odwiecznej walki chaosu i formy. Nie mogę zapomnieć chwil, w których materia przeciwstawiała się Bogu.

Émile M. Cioran[1]

1.

Feliks Trzymałko i Szczęsny Dzierżankiewicz, Barbara Stawiczak, Hieronim Bryłka, Jan Hammel, Paweł Ustrzykowski, znamienny kryptonim: S.B. i wiele innych. Oczywiście, są to pseudonimy/kryptonimy Stanisława Barańczaka. Używał ich od roku 1975 do 1980, to znaczy do wyjazdu z PRL-u i najprostszym wyjaśnieniem jest tu wskazanie na represywny charakter tego państwa. Chodzi mi szczególnie o represje wobec imienia własnego: od 1976 roku Stanisław Barańczak, jako imię własne, przestał istnieć. Żeby uprościć sprawę powiem, że przestał istnieć na mocy dekretu. Utrata imienia oznaczałaby tutaj stwierdzenie i spowodowanie jego nieistnienia na obszarach objętych dekretem. Czyli, w intencjach dekretujących, Stanisław Barańczak, jako imię własne, od daty wydania dekretu przestał raz na zawsze istnieć. A było to możliwe, ponieważ dekret zdawał się – Barańczak pewnie by powiedział: starał się – obowiązywać na całej przestrzeni państwa. Jeśli dodamy do tego, że Barańczak został wyrzucony z pracy (1977), że w zasadzie jedynym pracodawcą było to samo państwo, które dekret wydało, nie tylko imię miało zostać wyrugowane, ale też ewentualne środki do życia osoby tego imienia używającej. Jest to zresztą logiczne: imię, którego nie ma, nie potrzebuje środków utrzymania.

Imię, którego nie ma, widnieje jednak wśród założycieli KOR-u (którego też nie ma), podpisuje protesty, których nie ma, (współ)redaguje „Biuletyn Informacyjny” i „Zapis” (których nie ma). Oznacza to, że co najmniej od 1976 roku obszar objęty dekretem nie pokrywał już sobą całego państwa. Poza granicami dekretu Stanisław

Barańczak istniał dobitnie, głównie jako imię, ale, niestety, także jako ciało, którego z obszaru panowania dekretu nie można było, bez uporczywie odmawianej zgody dekretującego, przenieść: bezrobotne z nakazu, podległe rewizjom, aresztowaniom, inwigilacji itp. Znaczy to także: istniał jako cielesność. Imię, którego nie ma, można było zatem poddać rewizji, wiersze których nie ma – konfiskacie. Nigdzie bodaj imię (język) nie było radykalniej oddzielone od ciała (świat), jak w PRL-u. Im więcej ciała, tym mniej imienia: wymordowanych, przede wszystkim w Sowietach, po prostu nigdy nie było. Ciał zresztą też próbowano się pozbyć, usuwać z fotografii, filmów, książek itp. Ontologia poddana była surowej kurateli języka, albo radykalniej: język (poddany totalnej kontroli) miał ontologię zastąpić. Granicą istnienia nie miało być to, co mogę powiedzieć, tylko to, co mi powiedzieć/napisać było wolno. Ontologia zadekretowana.[2]

Ale też przeciwnie: imienia przybywało poza granicami dekretu, albo lepiej: przybywanie imienia którego nie ma, ograniczało przestrzeń dekretu, samo już było jego granicą, zagranicą.

2.

Feliks Trzymałko i Szczęsny Dzierżankiewicz narodzili się i działali jednak przed likwidującym imię dekretem. Dopiero Barbara Stawiczak w „Tygodniku Powszechnym" już po wydaniu dekretu. Ci pierwsi, wysłannicy Barańczaka do specjalnych poruczeń, pojawiali się na łamach „Studenta" od 1975 roku, o których to poruczeniach za chwilę. Potem efekty ich pracy – zebrane w tomie *Książki najgorsze (1975-1980)* – ukazały się w podziemnym krakowskim wydawnictwie KOS w 1981 roku, już pod nazwiskiem Barańczaka.[3] Teksty Barbary Stawiczak też znalazły się w książce autorstwa Stanisława Barańczaka – *Przed i po* – wydanej na emigracji.[4] Jeżeli w przypadku pierwszym imię, którego nie ma, intensyfikuje swe istnienie w obszarze zagranicznym (za granicą dekretu), to tutaj mamy do czynienia z imionami zapożyczonymi, maskami. Względy cenzuralne są oczywiste, i sam Barańczak o tym pisał.[5] Zarówno „Student", jak i „Tygodnik Powszechny" wychodziły w granicach dekretu/cenzury. Jednak imiona Trzymałki i Dzierżankiewicza nie tylko cenzurę miały mamić, nie tylko bawić skojarzeniem z Feliksem Dzierżyńskim, nie tylko, mimo zmiany płci, współbrzmieniem z imieniem, którego nie ma (Barbara Stawiczak). Owszem, ta ludyczna funkcja uchylania się systemowi represyjnemu była ważna. Jest jednak jeszcze inny aspekt tej maskarady. Otóż, w swoich felietonach i miniesejach o PRL-owskiej grafomanii, te zamaskowane imiona analizowały represywność rodzimej kultury masowej, niewinnej na pozór powieści milicyjnej, liryki zaangażowanej, twórczości na akademie i rocznice, piosenek „na co dzień" – całego obszaru związanego z PRL-owską odświętością i rozrywką. Trzymałko i Dzierżankiewicz nie tylko patroszyli PRL-owską grafomanię,

co już samo w sobie było drażliwe; oni czynili to w sposób niedozwolony. Ton ich wypowiedzi, stylistyka i retoryka były, owszem, spotykane, ale zarezerwowane dla „słusznej" krytyki nieprzyjaciół PRL-u.

Nie ulega wątpliwości, że taka zamaskowana (pseudonimy) demaskacja irytowała władze, które rychło zdemaskowały (ciekawe jednak, że demaskacji dokonały siły „anonimowe", zatem też zamaskowane[6]) ukrywającego się pod tymi pseudonimami autora, przenosząc jego felietony do nieistnienia, co po 1976 roku oznaczało: za granice dekretu. Myślę jednak, że spółka Feliks i Szczęsny dokonywała też swoistej rewolucji w myśleniu o świecie ich czytelników.

Otóż, także czytająca elita w PRL-u miała rejony, które skazywała na niebyt. Barańczak nigdzie o tym nie wspomina, ale wysiłek intelektualny owej elity skierowany był na rejony estetycznie, etycznie czy przynajmniej poznawczo uznawane za wartościowe. Rozpoznawanie kiczu pozostawiano krytyce literackiej, czy dziennikarzom. Gdybyśmy chcieli wyrazić te tendencje w sposób patetyczny, moglibyśmy powiedzieć, że elity czuwały nad obszarami wartości i te obszary starały się poszerzać i pogłębiać (a piszę o tym bez cienia ironii). Mówię tu o ludziach czytających także, niechby i nieregularnie, „Kulturę", książki publikowane w Instytucie Literackim, pisma i książki wydawane na Zachodzie itp. I oto nagle pojawił się ktoś, kto jasno i dobitnie wskazał na zagrożenia tych oaz oraz na cenę, jaką przychodzi za nie płacić. To nie jest tak, że nikt się w PRL-u w latach 70. kulturą masową nie zajmował. Nikt jednak nie uczynił tego tak jasno i trafnie jak nasz zamaskowany autor. I, w jakimś sensie, złamał pewną niepisaną umowę między władzą a elitą: wy – elita możecie sobie rozprawiać o Gombrowiczu, nawet o Miłoszu czy Herbercie, ale w wąskim gronie, niskich nakładach, a najlepiej bez nakładów, i w obiegu zamkniętym, przymkniętym, niedomkniętym, elitarnym. A my – władza będziemy zajmować się całą resztą ludności, od której wara! Mówiąc najkrócej niepisany i wielokrotnie łamany kontrakt zamykał ową elitę w przeznaczonym dla niej, wciąż tak czy inaczej szykanowanym, skansenie. Zamaskowany Barańczak złamał ten kontrakt: pokazał, że istnieje zatruwany świat poza skansenem, który nie jest całkowitą zewnętrznością, który się wrzyna w skansen, właściwie go unieważnia, i że jest to świat, który jest sprawą ważną zarówno jako przedmiot badań, jak też jako obszar działań. Nie tylko władze były poirytowane: środowiska intelektualne, przynajmniej początkowo, z niechęcią lub nawet agresywnie reagowały na wystąpienia Barańczaka (myślę tu o książce, nad którą równocześnie pracował, prezentując poszczególne rozdziały na konferencjach naukowych; książka w 1979 roku była gotowa i w końcu ukazała się w Paryżu[7]). Pobrzmiewający w pseudonimach Feliks Dzierżyński był śladem gwałtu, jaki się właśnie dokonywał, i jego wyparcia; wyparcia tego, co kiczowate, propagandowe, perswazyjne. Ale też wszechpanującej agresji. Agresji państwa i jego aparatu przemocy, ale też agresji ludzi, tłumu wtłoczonego w szczurzą klatkę tego państwa, agresji w ludziach.

3.

Wszystkie tomy poetyckie publikował Barańczak pod swoim imieniem, choć od 1974 roku (*Sztuczne oddychanie*) do 1988 (*Widokówka z tego świata i inne rymy z lat 1986-1988*) poza granicami dekretu. Wiele o poezji Barańczaka wnikliwie i mądrze napisano.[8] Kiedy dzisiaj czytam ją na nowo uderza mnie – i to już od *Korekty twarzy* (1968) – wszechobecna agresja, którą ta poezja uobecnia. To są w jakimś sensie wiersze obronne, wiersze lękowe, wciąż powracające do jakiegoś zdarzenia traumatycznego. Torturowane, maltretowane ciało, kraty, klaustrofobia, przesłuchania, wojna… Zapewne, mówią one o rzeczywistości PRL-u, mają tło autobiograficzne (1968, KOR), wskazują na polską tradycję, od baroku i romantyzmu poczynając.[9] Nie ma sensu odbierać tej twórczości jej historyczności. A jednak, właśnie lękowość, psychotyczna lękowość odróżnia Barańczaka od całej tej tradycji i, by tak rzec, tę historyczność przekracza. Sądzę, że takim traumatycznym przeżyciem tej poezji jest dozna(wa)ny gwałt ubezwłasnowolnienia. Bohater Barańczaka jest zewsząd oglądany, podglądany, wystawiony na cudze spojrzenie, na widok publiczny. To gwałt voyeryzmu, który po emigracji wcale nie ustaje. Wystawiony na taki gwałt człowiek właściwie wszystko ma do ukrycia i niczego ukryć nie jest w stanie. Jest bowiem obnażony i w swym obnażeniu absolutnie bezbronny, a zatem – wobec agresywności świata – naruszalny. I naruszanie ciała towarzyszy tej poezji od samego początku. Wreszcie, nie umiem tego nazwać, więc posłużę się Gombrowiczem: człowiek Barańczaka jest permanentnie gwałcony „przez uszy”. To nie tylko megafony świąt państwowych, przemówienia, hasła propagandowe. W poezji Barańczaka Heideggerowska gadanina przeszywa bohatera na wskroś zmieniając go w nic (unicestwiając). Zatem, jak sądzę, tortury, gwałty, ogłuszenia dosłownie unicestwiają bohatera tej poezji. W *Sztucznym oddychaniu* (1974) zmienią go w NN. Można powiedzieć, że na obszarze dekretu rację istnienia mają tylko anonimy, NN, szary człowiek, nikt, tłum. I to jest prawda (na poziomie świata przedstawionego). Ale na emigracji obszar, który dla PRL-u określiłem jako świat dekretu, uzyskuje wyrazistszy wymiar metafizyczny. Myślę, że miał ten wymiar od początku. A jeśli tak, to NN jest imieniem także Barańczaka. Znakami szczególnymi tej poezji byłyby zatem: lęk przed niczym, nic w obszarze języka, lęk unicestwianego imienia.

4.

Na emigracji to imię doznaje tortur innego rzędu. Przede wszystkim traci znaki diakrytyczne. Nazywa się teraz Banaczek[10], Baranazack[11], „Po paru tygodniach przyzwyczaja się ręka / do innej pisowni jedynki i do nieprzekreślania siódemki, /

nie mówiąc o opuszczaniu kreski nad »n« w podpisie”[12] – to w przestrzeni tej poezji, na przeszukiwarce Google znalazłem także Baraczak[13].

W książce *Pegaz zdębiał. Poezja nonsensu a życie codzienne: Wprowadzenie w prywatną teorię gatunków* imię rozsypuje się w litery, z których złożyć można ogromną ilość innych imion. Przytoczone przez Barańczaka 24 auto-onanagramy, bo tak nazywa poeta ten gatunek, są, jak zapewnia, wyborem z „ok. 5 400 auto-onanagramów, których sporządzenie […] pozwoliło Autorowi przetrwać bez Uszczerbku dla Zdrowia Psychicznego około 650 zebrań, konferencji i posiedzeń”, i kończą się skrótem „etc”; są, rzecz jasna, bardzo zabawne, więc przytoczę kilka: A.S. ZASRAŃC-BŁAWATKIN, BART SZWAŃC-NASIKAŁA, KRISTA BABAŁ-CWAŃSZA, WARS B. NIAŃCZ-SAŁATKA.[14]

Podobnym zabiegom poddaje poeta imiona innych pisarzy. Z matematycznego punktu widzenia chodzi tu o permutacje liter. Z imienia i nazwiska Stanisław Barańczak (18 liter, zatem 18!) można uzyskać 6 402 373 705 728 000 (sześć tysięcy czterysta dwa biliony trzysta siedemdziesiąt miliardów siedemset pięć milionów siedemset dwadzieścia osiem tysięcy) zestawień literowych (wzór jest prosty: ilość liter – tu: 18 – mnoży się kolejno przez liczbę o jedną mniejszą, aż do 2). W świecie rozsypanych liter rządzą, jak widać, eleganckie prawa matematyczne. Pod jednym warunkiem jednak: że pragniemy tę rozsypkę opanować jakoś pod jakimś względem. Ten wzgląd jest jednak arbitralny i nazywamy go zadaniem. „Masz zrobić to a to!” – brzmi polecenie. Teoretyczny wynik takiego onanagramicznego zadania sięgałby liczb astronomicznych, przekraczających praktyczną przyswajalność mózgu. W onanagramach zadanie jest jednak inne: permutacje mają być ograniczone do formacji nazwiskopodobnych, najchętniej śmiesznych, w granicach polszczyzny. W *Ocalonym w tłumaczeniu…* własne tłumaczenia wierszy poprzedzone są analizą tekstu podaną jako zadanie do wykonania.[15] Permutacje, nawet poddane dodatkowym ograniczeniom łączy z zadaniem tłumacza jedno: istnieje wzór, materiał wyjściowy, pierwotny. Jeśli nie znamy imienia i jego liter, permutować ich nie jesteśmy w stanie. Jeśli imię jest jednoliterowe, jak X czy Y, nie ma co permutować. Nawet NN posiada tylko jedną i tę samą literę. Zadania interpretacyjne są oczywiście dużo bardziej skomplikowane. Retoryka Barańczaka jest jednak podobna: dany jest wiersz, którego elementy składowe rozpoznaję ze względu na takie a takie przesłanki, które poddaję dodatkowym ograniczeniom, ustanawiając pomiędzy nimi hierarchie, których kryteria podaję. Można dyskutować nad tym, czy elementy składowe rozpoznane są trafnie, czy przesłanki przekonują, czy hierarchie są do przyjęcia – czy polityka Barańczaka jest przekonująca. Ale, mimo często apodyktycznego tonu, Barańczak skłonny jest do dyskusji, nie godzi się jednak na to, co nazwałbym metaforycznie pułapką permutacji, a co w praktyce sprowadzić można do rozsypania w chaos. Można u Barańczaka dyskutować „dodatkowe ograniczenia”, ale nie konieczność ich przyjęcia. Można też dyskutować wynik wykonanego zadania innych tłumaczy,

co Barańczak, często bardzo złośliwie, ba – niesprawiedliwie, robi. „Można dyskutować" jest jednak skrajnym zaprzeczeniem dekretu; świat nadmierny przeraża, świat jednowymiarowy – zabija.

Trzeba też pamiętać, że Barańczak użyczył imienia pisarzom przez siebie tłumaczonym, a imię ich legion. To użyczanie imienia w tłumaczeniu domaga się jednak osobnego ujęcia, na które nie ma tu miejsca.

5.

Nie inaczej postępuje Barańczak w *Tablicy z Macondo***.**[16] Ustanawia zadanie do wykonania, podając jego ścisłe reguły. Należy na osobistej tablicy rejestracyjnej samochodu wpisać słowo/słowa nie przekraczając określonej ilości liter, mają to być słowa w języku polskim, ale takie w których polskie znaki diakrytyczne nie występują. Tutaj jednak pojawia się istotna różnica: zadanie, owszem, jest, ale nie ma wzoru… Myślę, że w *Tablicy z Macondo* powiedział Barańczak najwięcej nie tylko o własnej poetyce; powiedział też najwięcej o swojej metafizyce. Nie ma wzoru, albo też jest nam niedostępny, jak imię, może nawet przez duże „I", którego poszukujemy, którego brzemienia nieudolnie podsłuchujemy, niezdarnie jak pan Dyndalski[17], ze słuchawkami na uszach, wsłuchani w muzykę, która też poszukuje imienia, etc, „etc". Jak o roli imion własnych u Prousta pisał Roland Barthes:

> Sama Nazwa własna jest znakiem a nie tylko […] zwykłym wskaźnikiem, który odsyłałby do swego przedmiotu, sam nic nie znacząc. Jako znak Nazwa własna poddaje się zgłębianiu i interpretacji: jest jednocześnie „środowiskiem" (w biologicznym znaczeniu tego słowa), w które należy się zanurzyć, pławiąc się w nieskończonej ilości obecnych tam marzeń, a także drogocennym, zawoalowanym, zwartym w sobie przedmiotem, który należy rozwinąć niczym kwiat. Innymi słowy: jeżeli Nazwa [własna] jest znakiem, to jest to znak wielowymiarowy, gęsty, brzemienny w sens, znak którego żadne użycie nie ograniczy, nie spłaszczy, w przeciwieństwie do nazwy pospolitej, której sens zawsze jest określany przez zdanie.[18]

Owszem, imię własne jest „brzemienne w sens", jest „wielowymiarowe" etc, wiemy o nim jednak, że JEST. Ale kiedy już owo JEST napiszemy, zmieniamy je w imię pospolite i natychmiast wpadamy w pułapkę języka, który skazuje nas na nieskończone permutacje. I już nie wiemy, czy „jest" znaczy, jak po polsku

bycie/byt, czy, jak po angielsku – żart.[19] I to jest pierwsze zakończenie tego eseju.

Ale jest jeszcze drugie. Śledząc uciekające imię u Barańczaka zaglądałem na strony tytułowe jego książek/artykułów, patrzyłem na imię/nazwisko autora/tłumacza. Zaglądałem też do samych tekstów, gdzie to imię już to zanika zredukowane do NN, już to znów się przepoczwarza. Ale między stroną tytułową a tekstem jest pewne miejsce, jak je nazwać? – najmniej fikcjonalne, odsyłające do świata pewnego i niewątpliwego. Mam na myśli dedykację, ale szczególną, bo ograniczoną do imienia, zatem pozbawioną jakichkolwiek odniesień. Prawie wszystkie tomy poetyckie Stanisława Barańczaka[20], a także *Tablica z Macondo…* dedykowane są jednemu imieniu: „Ani". „Otwiera ono słowo innemu, a drzwi otwierają historię, wiersz, filozofię, hermeneutykę i religię […] po to, aby dokonać potwierdzenia tożsamości, albo po to, aby jej zaprzeczyć".[21] I jest to jedyne imię, które nie ucieka, które trwa w swej niewzruszonej pewności, zaświadczając (zapewniając?) istnienie. Właśnie JEST.

> […] nie myśl, że nie jestem w stanie
> wierzyć, żeś jest. W to nie wierz, jestem.[22]
>
> *Leonard Neuger*

przypisy

[1] É. M. Cioran, *Święci i łzy*, przeł. z rumuńskiego i wstępem opatrzył I. Kania, Warszawa 2003, s. 158.

[2] Najpełniej tę Barańczakowską językowość opisał Włodzimierz Bolecki (w: idem, *Język jako świat przedstawiony*, "Pamiętnik Literacki" 1985, z. 2). W 1985 roku nie można było jaśniej przedstawić tego problemu. W szerokim kontekście kulturowym podejmuje tę problematykę Dariusz Pawelec (w: idem, *Poezja Stanisława Barańczaka. Reguły i konteksty*, Katowice 1992).

[3] S. Barańczak, *Książki najgorsze (1975-1980)*, Kraków 1981. Okoliczności towarzyszące publikacjom pamfletów opisał Barańczak w *Nocie do wydania drugiego* i w *Zamiast wstępu*. Korzystam właśnie z tego drugiego zmienionego wydania (idem, *Książki Najgorsze i parę innych ekscesów krytycznoliterackich*, Poznań 1990, s. 5-7, 8-15).

[4] S. Barańczak, *Przed i po. Szkice o poezji krajowej przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych*, Londyn 1990.

[5] S. Barańczak, *Książki najgorsze…*, passim.

[6] Ibidem, s. 9-10.

[7] S. Barańczak, *Czytelnik ubezwłasnowolniony. Perswazja w masowej kulturze literackiej PRL*, Paryż 1983.

[8] Dla piszącego ten esej najważniejsze były książki Krzysztofa Biedrzyckiego *Świat poezji Stanisława Barańczaka* (Kraków 1995), Dariusza Pawelca *Poezja Stanisława Barańczaka…*, Joanny Dembińskiej-Pawelec *Światy możliwe w poezji Stanisława Barańczaka* (Katowice 1999), a także znakomite studium Włodzimierza Boleckiego *Język jako świat przedstawiony…*, s. 149-174.

[9] Vide: D. Pawelec, *Poezja Stanisława Barańczaka…*, rozdziały: *Tradycja (*s. 11-38) i *Biografia* (s. 121-170).

[10] W wierszu *Garden party* z tomu *Atlantyda i inne wiersze z lat 1981-1985* (Londyn 1986, s. 25).

[11] W wierszu *Poczta* (ibidem, s. 41).

[12] Cytat z wiersza *Druga natura* (ibidem, s. 26).

[13] Kto wie, czy ta przypadkowa operacja na literach nie apeluje nieświadomie do etymologii poetyckiej: poeta jako ”barak”.

[14] S. Barańczak, *Pegaz zdębiał. Poezja nonsensu a życie codzienne: Wprowadzenie w prywatną teorię gatunków*, Londyn 1995, s. 57, 58.

[15] S. Barańczak, *Ocalone w tłumaczeniu. Szkice o warsztacie tłumacza poezji z dołączeniem małej antologii przekładów*, Poznań 1992.

[16] S. Barańczak, *Tablica z Macondo. Osiemnaście prób wytłumaczenia, po co i dlaczego się pisze*, Londyn 1990. Tutaj mam na myśli esej *Tablica z Macondo albo: Najkrótsza poetyka normatywna na użytek własny, w sześciu literach bez znaków diakrytycznych, z dygresjami motoryzacyjno-metafizycznymi* (ibidem, s. 222-233).

[17] Chodzi o wiersz *Problem nadawcy* z tomu *Chirurgiczna precyzja* (Kraków 1998, s. 43).

[18] R. Barthes, *Proust: nazwy i nazwiska*, przeł. M. P. Markowski, w: R. Barthes,

Lektury, przeł. K. Kłosiński, M. P. Markowski, E. Wieleżyńska, wybrał, oprac. i posłowiem opatrzył M. P. Markowski, Warszawa 2001, s. 47.

[19] U Barańczaka w omawianym eseju tego akurat problemu nie ma: po pierwsze dlatego, że od początku poeta ogranicza „zadanie" do języka polskiego, po drugie zaś, bo zapisuje ową wyobrażoną tablicę rejestracyjną: „ON JEST". Owszem, nawet w takiej wersji daje się ona zaadaptować do angielszczyzny, na przykład jako tytuł eseju: *O żarcie*, ale już jako napis na tablicy rejestracyjnej sensu nie ma.

[20] Znamienne, że żartobliwe tomy Barańczaka są tej dedykacji pozbawione.

[21] J.Derrida, *Szibbolet dla Paula Celana*, przeł. A. Dziadek, Bytom 2000, s. 72. Oczywiście dokonuję tu trawestacji Derridy, który mówi o żydowskim obrzezaniu i to w kontekście Celanowskim. Jednak koncepcja "szibboletu" jako tajemniczego znaku przynależności/nieprzynależności wydaje mi się tutaj ważna. „Ani", bo nawet nie wiem, czy to imię istnieje w mianowniku, a może właśnie to jest jego mianownik, i każdy inny przypadek, jest takim właśnie Barańczakowskim szibboletem.

[22] S. Barańczak, *Żeby w kwestii tej nocy była pełna jasność*, w: idem, *Widokówka z tego świata i inne rymy z lat 1986-1988*, Paryż 1988, s. 49.

nota

pierwodruk: *„Obchodzę urodziny z daleka…". Szkice o Stanisławie Barańczaku*, pod red. J. Dembińskiej-Pawelec i D. Pawelca, Katowice 2007, s. 7-17